

JANINA CHOINA ur. 1928; Lublin-Czechów

Tytuł fragmentu relacji	Wieś Czechów
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	wieś Czechów

Wieś Czechów

Czechów - teraz, w tej chwili to jest już dzielnica Lublina, ale przed wojną to była wieś Czechów, i należała do gminy Konopnica. Były tam budynki przeważnie drewniane, zaniedbane, kryte strzechą. W jednych domach mieszkalnych mieszkały rodziny wielopokoleniowe: dziadkowie, rodzice i dzieci dorastające, żeniące się. Było po kilka osób w domu. Było biednie, bardzo biednie, ale raczej zgodnie. Przyjaźnili się sąsiedzi ze sobą. Druga rzecz: np. jedzenie, czy to było złe czy dobre. Nie było żadnych, jak w tej chwili, talerzyków, talerzy. Stawiała matka, czy babcia - stawiała garnek z zupą na stole, każdy swoja łyżką - z jednego garnka się jadło. Pracowało się bardzo ciężko, nie było maszyn rolniczych żadnych, nikogo na to stać nie było. Wszystko robiło się ręcznie i nawet średni rolnicy byli biedni - bo moi rodzice wywodzili się ze średniego rolnictwa, nie z całkiem biednego. Ale mimo ciężkiej pracy była bieda. Do szkoły chodziliśmy nawet boso i chodziliśmy 3 kilometry. I w zimie też i nikt nikogo nie odprowadzał - chodziło się w śniegu po pas, nie było ulic, były drogi i nie było butów dobrych, nie było rajstop, były pończochy zawiązywane na sznureczki albo na gumki i palto było takie, co się kupiło u Żydów. Matka zawsze musiała się wytargować, bo tylko Żydzi opuszczali, Polacy byli drożsi. A była taka dzielnica Wieniawa najbliżej Czechowa i tam było strasznie dużo tych właśnie Żydów - raczej biednych, którzy zajmowali się obsługą znów takich biednych ludzi ze wsi. Dawali na kredyt jeżeli mieli sklepy spożywcze. Szyli takie okrycia i te dzieci tam obszywali w co nie bądź. Żydzi kupowali warzywa, chodzili po wsi i świadczyli usługi takie jak na przykład podzywianie butów, to za chleb czy za mąkę czy za takie rzeczy. Tu gdzie ja się urodziłam i gdzie ja się wychowałam teraz jest ulica Północna. Kiedyś była tu stara wieś Czechów, którą później skomasowali i w tej chwili jest ulica Północna i myśmy tam mieszkali -w jednym mieszkanku wszystko się mieściło. Później zrobili komasację gruntów i wtedy myśmy się znaleźli na pustym polu i moi rodzice postawili mieszkanie drewniane. Nie było ani studni ani jakiejś obory, żeby krowę przetrzymać. Nic nie było, jedno mieszkanie. Myśmy się tam sprowadzili i tak jak inni rolnicy przez parę lat się dorabialiśmy wyrzeczeniem. Po prostu odejmowaliśmy sobie od gęby, żeby postawić jakąś oborę, przetrzymać krowę, konia, bo to było w gospodarce konieczne. Może była wtedy taka jakaś mentalność na wsi ludzi, że się lubieli, szanowali się. Tam nie było takiego wywyższania się jeden przez drugiego. Tylko nawet jak ktoś był biedniejszy to przyszedł, czy pożyczył czy soli czy chleba. Dzielili się. I druga rzecz, jak przyszło święta to się zapraszali nie tylko rodzina, ale i sąsiedzi - na Wigilię, opłatkiem się przełamać, zapraszali się. Prośli się do siebie nawzajem w

taką gościnę. A jeszcze na wsi na Sławinku, ludzie nie mieli studni, bo na Czechowie to już mieli studnie, bo nie było źródeł, a na Sławinku - tam od tego parku właśnie, od tego dziedzictwa - majątku Sławinek, to był jeszcze dalej w głąb ulicy dwa źródła które biły na łąkach i ludzie ich obserwowali i tam się chodziło po wodę. I tak się nosiło wodę: były takie nosidła, które się zakładało na ramiona i dwa wiadra wody i się nosiło do domu. Nie było studzien, nie było kanalizacji, ubikacje były drewniane, gdziekolwiek tam postawiane. Oczywiście smród był i brud był, a w innych dzielnicach było to samo. Bo też były ubikacje gdzieś albo przy jakiejś budzie albo w jakiejś sieni, gdzie smród bił, że wejść nie można było. Ludzie nie mieli też piwnic. To jeszcze na wsi, to przetrzymał gdzieś ma mrozie, a w mieście to trzymali w tych sionkach, to jak się weszło to smród bił od razu. Bardzo było biednie. Jak się trzymało krowy, to kobiety wstawały o czwartej rano i biegły do miasta na piechotę z dwoma baniami mleka, żeby ludziom w mieście zanieść na czwarte piętro dwa litry mleka, żeby dzieci miejskie miały rano na śniadanie świeże mleko. To ta kobita ze wsi musiała krowy wydoić, naszykować do tego miasta to mleko, a jeszcze całe lato póki mróz nie wziął, to latała z tym mlekiem boso. A jeszcze jak poszła w niedzielę z tym mlekiem, obowiązkowo chodziła, no to musiała wstąpić do kościoła. Więc był fartuch przed pasem, zapaska się nazywała, i boso na nogach, bańki w sieni w Kapucynach stały, kobita musiała mszę świętą odbyć. Takie były ubiory wtedy, takie były czasy. A na przykład brak u kobiety ze wsi to był podstawowy ubiór wtedy, ubiór: chustka na głowie i czy tam bluzka, spódnica, założymy koniecznie zapaska, fartuch przywiązywany jak w kuchni się używa, no. To pamiętam, a tak. Starzy ludzie nie mieli żadnych rent tylko żyli przy dzieciach, a dzieci to... Najgorzej to właśnie starzy ludzie się męczyli na tej dawnej wsi, bo nie mieli rent żadnych, nie mogli już pracować, a byli zatrudnieni przynajmniej przy bawieniu dzieci i przy pasieniu krów. To już musieli robić. A jak szedł do kościoła, a koniecznie musiał dać na tacę, no bo wtedy to nie ludzie byli bardzo religijni, mocno wierzący. Nawet wierzyli w to, że ksiądz jest bardzo uczciwy, religijny, że ksiądz jest osobą świętą, a na tacę jak parę groszy dawali, to udawali, że to ofiara jest dla Boga, nie dla księdza. Więc jak ten staruszek, któremu ten syn czy córka czy synowa nie mieli dać te 5 groszy, czy ile tam, to był strasznie zmartwiony, był nieszczęśliwy, że na tę tacę nie może nawet dać, do kościoła mógł nie pójść, bo na tacę nie dał. Ja osobiście w wzrastałam w przekonaniu, że to się daje ofiarę Bogu - ten pieniądz ... tak że on musiał być dany. No i oczywiście obowiązek mszy świętej był dla ludzi rzeczą świętą. Jak ktoś nie poszedł ze wsi do kościoła to był bardzo nieszczęśliwy. To był taki cotygodniowy obowiązek.

Data i miejsce nagrania	2004-10-04, Lublin
Rozmawiał/a	Monika Pytlarz
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"